Rok III.

Nr. 38. Nr. 38.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Ogłoszenia po $1^1/_2$ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 20 września 1873.

Ul. Fryderykowska Nr. 19.

Dla czego źle się u nas dzieje?

W odpowiedzi na powyższe pytanie możnaby tom cały napisać i jeszcze nie wyczerpnąć bogatego materjału. Jak wielu innym tak i nam pytanie to nasunęło się mimowolnie, a jeżeli nie mamy pretensji rozwiązać je w zupełności, to rzucimy przynajmniéj kilka luźnych uwag, których przeznaczeniem jest pobudzić łaskawych czytelników do rozmyślań nad ważnym przedmiotem.

Społeczeństwo, naród jest budowniczym własnego szczęścia i losu tak samo jak każda jednostka i tak samo jak ona zabezpiecza go sobie wytrwałością, ciągłą a umiejętną pracą. Wytrwałości, zwłaszcza biernéj, mamy dość, jak tego w ciągu ostatnich lat stu dowiedliśmy. Rozliczne systemy rządowe i próby wynaradawiające rozbiły się o tę naszą wytrwałość i obróciły w niwecz, a my stoimy jak niewzruszona, jednolita opoka na naszém narodowém stanowisku. Stoimy — ale czy postąpiliśmy naprzód? Czy rozwinęliśmy stare a uruchomili nowe siły i zasoby?

Nie przesadzimy odpowiadając przecząco. — Zauważy kto może i poprze licznemi przykładami, że mieliśmy świetną epokę rozwoju umysłowego a obecnie postępujemy krok za krokiem w kierunku ekonomicznym. Tak, odpowiemy znowu, — ale jednostronny, szczegółowy postęp nie stanowi jeszcze istotnego rozwoju, a nikt nie zdoła zaprzeczyć, że w chwilach gdy pracowaliśmy skutecznie duchowo, cała niwa ekonomiczna leżała odłogiem i że dziś na odwrót cała sfera ducha i umiejętności zamieniła się w pustynię. W tym względzie podobni jesteśmy do dzielnéj armji, któréj wódz masami działać nie umie a prowadząc w ogień batajon po batajonie, sam wrogowi zwycięztwo ułatwia.

Wodzów albo zgoła nie mamy, albo też bardzo nieudolnych, błąkamy się tedy samopas, przerzucamy z jednego punktu na drugi, nie obsadzając żadnego i dzieje się, że rozprawiamy chętnie i wiele o pracy organicznéj, ale jéj nie pełnimy. Zamiary i plany rosną jak grzyby po wiosennym deszczu, a czynów mało. Spotykamy się często z górnolotnemi deklamacjami opiekunów i fachowych zbawców ojczyzny, a nigdy prawie z cichym dobrodziejem i mężnym przewodnikiem.

„Brak nam ludzi, sił nam brak.“ Oto są zwykłe odpowiedzi płytkie i niedorzeczne, jakie słyszeliśmy na podobne do naszych objekcje.

Uwierzywszy, możnaby śmiało rozedrzeć szaty i płakać z rozpaczy.

Brak nam sił i ludzi! — miły Boże, a cóż się dzieje z tą młodzieżą, któréj całe mnóstwo kształci się w kraju i za granicą, któréj setki przywożą corocznie do domu dyplomy i chwalebne świadectwa?

Nie wspominamy o Warszawie, bo tam praca widna po owocach, ale w Poznaniu, Krakowie i Lwowie? Doktorów i redaktorów jak piasku

w morzu a na drzewie pracy gospodaruje szarańcza bezczynności! Niepodobieństwem przecież jest przypuścić, aby ci wszyscy panowie byli tylko medykami, filologami lub poetami, są między nimi bezwątpienia ludzie wszelakich innych fachów, zdolni i chętni do pracy.

A więc nie ludzi i sił, ale braknie nam umiejętności ich używania.

Wyobraźcie sobie, łaskawi czytelnicy, młodego człowieka w chwili, gdy ukończywszy studja staje na polu praktycznego życia. Dusza jego czysta nie zetknęła się jeszcze z brudem codziennych walk o byt lub pychę, sumienie spokojne jak powierzchnia górskiego jeziora, serce przepełnione wiarą i miłością, pojęcie fałszu, podstępu i intrygi nie zaciemniło jasności umysłu — wrodzony młodzieńczości popęd i nieodarta ze szlachetności ambicja prą go do czynu. Staje pośród społeczeństwa i woła: „pragnę ci służyć, chcę pracy.“ Pochwycić takiego Tytana a Peljon zaniesie na Oitę, skierować ten dziewiczy potok na właściwe szlaki a w górę nawet popłynie. Biada jednak gdy niedoświadczony Tytan, zostawiony sam sobie, na własną rękę sił doświadczać zacznie — miotanie się zastąpi twórczy zapał a ciosy na oślep celową pracę. Dziewiczy potok rozleje się w mętną kałużę lub wyschnie a żaden statek po nim nie popłynie. Niesprawiedliwe i próżne będą narzekania na młodzież tych, co ją miasto przygarnąć, zanurzyli w zapomnienia fali.

Narzeka się głośno na brak sił i brak ludzi — to bezwstyd, głupota i niedołęztwo — to fałsz. Czy nie słuszniéj i rozumniéj byłoby wspomnieć coś o nepotyzmie i ostracyzmie, tych dwóch plagach każdego społeczeństwa, coś o tym uświęcającym rozbiorowe traktaty pojęciu, rodem z za pieca wynalezionym i puszczonym w obieg przez orędujący wszelakie niedorzeczności „Orędownik“, zdaniem którego Polak z za kordonu lub od Krakowa jest w Wielkopolsce przybłędą?

Nepotyzm to piastunka u łona której wypasa się niedołęztwo, próżniactwo, ograniczenie, zmysł owczy, synekury i polityka parafjalna. Nepotyzm to rodzony brat ostracyzmu, który ze swéj strony jest miotłą wymiatającą wyższe talenta i zdolności z drogi publicznéj pracy, to żądło żmiji raniące dobrą cześć i sławę tylu jednostek wyższych głową i sercem nad pospolitość, silnych prawością charakteru i niepodległością zdania, ostracyzm to kainowa maczuga na sprawiedliwość i zasługę, to ojczymie ramię rzucające najtęższe nasze siły w zagraniczną służbę lub niestety czasem na śmiecisko wroga. Z niemoralnych związków nepotyzmu z ostracyzmem urodził się czołobitny lokaj, pierzchliwa natura i cały ten stan rzeczy, nad którym szlochamy, miasto go usunąć.

Usunąć złe, o którém mówiliśmy nie jest wcale trudno, skoro wiemy gdzie się gnieździ. Nie będziemy mieli braku sił i ludzi do pracy, skoro ci którzy dziś pracują lub odpowiednie zajmują stanowiska dbać będą o następców i starać się przysposabiać ich sobie między młodszém pokoleniem, nie dbając o to, czy ta lub owa urojona powaga boi się wyższości, czy ta lub owa bańka wydęta próżnością pęknie i wykaże swoje nicestwo.

Śmierć lub stargane siły przerzedzają szeregi osiwiałych w boju rycerzy. Luki widnieją pustkami. Czyż ich nikt nie zapełni?

Do ciebie, liczna drużyno młodzieży, któréj wykształcenie i mienność pozwalają pełnić bezpłatne publiczne obowiązki, odzywamy się: naprzód! stań między twemi ojcami i walcz jak oni walczyli.

A wy szczególnie, dziedzice imienia, zapisanego krwią praojców na kartach ojczystych dziejów — gdzie jesteście, że was nie widno w potrzebie? Odwróćcie konterfekt naddziada licem do ściany lub stańcie do szeregu w całym rynsztunku ofiarności i rycerskiéj odwagi. Noblesse oblige!

Czy wiecie że lud rzuca błotem na godła nasze i historyczne hasła?

Czy wiecie, dla czego?

Bo zna je tylko z przypowieści, bo słyszy echo a nie widzi osób.

A więc do szeregu!

Gdy siły staną pod sztandarem pracy, starajmy się kierować niemi zręcznie i odpowiednio zastosowywać. Niech każden posterunek ma swoją załogę a niech jedna wielu nie obsługuje punktów.

Nie należy się nigdy wyzyskiwać gorliwości i dobrych chęci jednych, podczas gdy drudzy zostają na uboczu. Obsadzając kilka stanowisk jedną osobą, obarcza się ją nad siły i możność. Nie będąc w stanie podołać nawałowi obowiązków, spełnia się je połowicznie, pobieżnie — lub się ich nie pełni zgoła.

Jesteśmy tylko ludźmi — najczystsze pragnienia, najlepsze chęci mają swój kres, po za którym działalność nasza ustaje.

Dzielmy się zatém obowiązkami i pracą w wykonywaniu, jednoczmy w kierunku. Tym trybem postępując każde przedsięwzięcie skutecznem będzie a na polu publicznych obowiązków znajdzie się miasto kilku, jak dotąd, jednostek, cały zastęp pracowników. Przedewszystkiém zaś, jeżeli mówimy o pracy organicznéj i uznajemy jéj konieczność, to starajmy się zbadać jéj istotę. Zaczynajmy od fundamentów, od abecadła, bo tym tylko sposobem pójdziemy dalej, umocnimy się i staniemy u szczytu.

O narodowym charakterze i zasługach literatury z czasów Stanisława Augusta

przez

Adama Bełcikowskiego.

(Dokończenie).

Po raz drugi czyniąc tu porównanie między temi epokami, musimy i teraz powtórzyć, że nikt ani za swoich czasów, ani później nie wyrzucał zdrady przeciwko narodowości naszym zygmuntowskim pisarzom, chociaż ci występowali ze zdaniami Lutra i Kalwina, podobnie jak pisarze Stanisława Augusta, lubo daleko skromniéj i nie tak śmiało dawali w swych pismach do poznania, że im nie są obce zasady Woltera i encyklopedystów. Któż z nas dzisiaj nie przyzna, że dobrymi Polakami i z charakterem na wskroś narodowym byli taki Rej, Modrzewski albo Orzechowski? A przecież gdybyśmy ich chcieli sądzić podług miary z epoki Sasów, podług owego fałszywego ideału o charakterze narodowym, możeby więcéj jeszcze nie odpowiedzieli wymaganiu niż Trembecki albo Węgierski.

Ci to filozofowie francuzcy, którzy niemały wywarli u nas wpływ na najtęższe umysły XVIII wieku, ściągnęli na swoich adeptów największą burzę i najsurowszy wyrok potępienia. Chcąc stawać w obronie naszych pisarzy, należałoby może rozpocząć od obrony téj nad słuszność osławionéj filozofji, ale czujemy aż nadto słabość swoich sił pod tym względem i poprzestaniemy na przytoczeniu kilku słów skreślonych przez człowieka, którego rozum i bezstronność dają wszelką rękojmię prawdy. „Byli to ludzie (powiada lord Macaulay o filozofach francuzkich XVIII w.), którzy obok wszystkich swoich moralnych i umysłowych błędów, pragnęli szczerze i usilnie poprawić dolę rodu ludzkiego; którym wrzała krew w żyłach na widok okrucieństwa i niesprawiedliwości; którzy walczyli jako męże, wszelkiemi siłami ducha, przeciw temu, co w ich oczach było nadużyciem; którzy nie w jednéj ważnéj sprawie stawali w pośrodku między potężnymi a uciśnionymi...“ Ci filozofowie zatém nie musieli być tak straszni jak ich nieraz malują niedorośli adepci filozofji i powieściopisarze? Dla czegożbyśmy także mieli wyrzucać naszym pisarzom z XVIII wieku ich filozofję i wolnomyślność, zwłaszcza kiedy oni, nie podnosząc skrajnych i w ostateczność niekiedy popadających zasad filozofji francuzkiéj, wzięli z niéj, można powiedzieć, to tylko, co było najlepsze: chęć rozszerzenia oświaty i wolności w celu ratowania ojczyzny?

Bo to, a nic innego było ich celem. Widząc swój naród na krawędzi przepaści, pragnęli go powstrzymać od zguby. Środki jakich ku temu używali były bezwątpienia najodpowiedniejsze i najzbawienniejsze, jeżeli prawdą jest, że chcąc ratować czy pojedynczego człowieka czy cały naród, trzeba rozpocząć pracę od wewnątrz, od krzepienia i oczyszczenia ducha. Ta droga prowadziła prosto do celu. Polska odrodzona na umyśle, Polska rozumna, rządna i wolna nie w jednym tylko stanie, ale we wszystkich klasach społeczeństwa, byłaby zdolną stawić czoło wszelkim zewnętrznym napaściom i nie dopuścić naruszenia swéj niepodległości. Czyliż tym ludziom myślącym i piszącym możemy przypisać winę, że tak się nie stało, czy im możemy nawet czynić wyrzuty, że do niestosownych udali się leków? Wypadki polityczne szły nagłym, przyspieszonym krokiem, i na samym początku ich dzieła powstrzymały naszych pracowników i zniszczyły ich robotę przynajmniéj w części, to jest o ile ta miała polityczne cele na oku. Nie przeczuwali oni bezwątpienia, że katastrofa nastąpi tak rychło, z zadziwieniem i trwogą ujrzeli nagle, że grom przed ich nogami pada — wtenczas, kiedy oni daleką jeszcze drogę widzieli przed sobą. Ich nadzieje zostały zawiedzione, ich usiłowania spełzły na niczém, ale przy nich zostanie chwała, że mieli chęć i odwagę zabrać się do dzieła, że nie tracili nadziei we własne i narodu siły, porzucając owe nierozsądne zaufanie, zakorzenione w narodzie w czasach największego nierządu, a poniekąd trwające do dziś dnia, że bez naszego współdziałania, bez pracy nad rozwinięciem sił ducha i środków materjalnych, zbawi nas od wszystkiego złego — cud Opatrzności!

Innym sposobem chciała ratować ojczyznę konfederacja barska i powstanie Kościuszki, ale równym sposobem nie spełniły swego zamiaru. Dla czego? Bo narodowi brakowało tego, co mu pragnęli wlać w ducha myślący ludzie XVIII wieku, bo klątwa dawnych nałogów i błędów, przedstawianych i dawniéj i teraz częstokroć jako właściwości naszego charakteru, ciążyła jeszcze nad nim i paraliżowała najlepsze w gruncie zamiary. Chcąc się ratować, należało najprzód wyjść z tego zaczarowanego koła, a powtarzamy: pisarze XVIII wieku chcieli z niego wyrwać swój naród.

Potrzeba reformy politycznéj w Polsce od dawna czuć się dawała; jeszcze w XVI wieku wołano głośno o naprawę Rzpltéj. Powszechném było poczuciem, że organizm Rzpltéj nie jest dość silnie zbudowany; stosunki rządzących stanów do siebie były dość lóźne, nieobwarowane pewnemi prawami, ztąd cały ustrój wewnętrzny cierpiał na chaotyczny niepokój i wystawiony był na ciągłą walkę równych co do siły żywiołów. Tylko wielka rewolucja, przechylająca szalę na jednę lub na drugą stronę mogła położyć koniec temu stanowi. Do tego jednak nie przyszło. Ponawiające się rokosze, walki sejmowe między tronem a narodem, wreszcie zrywanie sejmów utrzymywały Rzpltą w ciągłéj gorączce, nie sprowadzając jednak stanowczéj kryzys. Przyzwyczajono się wreszcie do tego stanu rzeczy i zaczęto go uważać za normalny. Dopiéro przeobrażenie umysłowe, jakiego Polska doznała w drugiéj szczególnie połowie XVIII w. zdobyło się na krok więcéj od wszystkich dawniejszych stanowczy i najwięcéj zbliżony do téj rewolucji, która Rzpltą mogła była ocalić. Konstytucja 3 maja była bezwątpienia największą reformą ze wszystkich projektowanych i poczynanych w celu naprawy Rzpltéj.

Ale nic dziwnego. Wiek XVIII, na którym ciężyło całe brzemię od paru wieków nagromadzonych błędów i nadużyć, musiał najsilniéj czuć potrzebę zwalenia ze swych bark tego ciężaru. Nigdy różnica między Polską a resztą Europy nie uderzała więcéj w oczy. Europa przeobrażała się pod względem umysłowym i politycznym, w Polsce widoczny był zastój i zacofanie się. Ogół narodu nie wiedział o tém, ale znaleźli się ludzie, którzy rzuciwszy wzrokiem po za granice swego kraju, uczuli zarazem konieczność nastrojenia się do ogólnéj harmonji europejskiego społeczeństwa. W ten sposób powstali reformatorowie XVIII w. i taką była ich myśl, myśl zresztą nienowa i nie pierwszy raz się pojawiająca. Dążyć za resztą Europy było stałém prawem naszéj historji i cywilizacji od czasów związania się z Zachodem przez wspólność religji. Na mocy tego prawa powstała u nas królewskość w miejsce sławiańskiego gminowładztwa, przeniosła się do nas z nad Renu filozofja scholastyczna, na mocy tego prawa podniosło naszą literaturę

odrodzenie i rozpaliła umysły walka reformacyjna. Jedną tylko możnaby znaleść różnicę w tém podążaniu za innymi między XVIII wiekiem a dawniejszemi. Przez ciąg całych średnich wieków a następnie i w początkach nowożytnéj historji, jak w wieku XVI najwyższym ideałem tak umysłowego rozwoju jak i politycznego porządku rzeczy był zarówno dla reszty Europy jak i dla Polski świat starożytny a mianowicie państwo rzymskie. W wieku XVII to zapatrywanie zmieniać się poczęło. Ludy europejskie dochodziły do dojrzałości, tworzyły sobie oryginalną, nowożytną politykę i cywilizację. Gabinet Ludwika XIV nie miał nic wspólnego z tradycjami Hellady i Rzymu, a Bakon lub Kartezjusz rozpoczynali filozofować na nowo i na własną rękę, wyłamując się z pod powagi Arystotelesa. W XVII wieku zyskała Francja taki wpływ i urok w oczach całéj Europy, jakiego dotychczas nie posiadało żadne nowożytne państwo, nie wyjmując nawet świętego rzymskiego cesarstwa. Stanąć zatém o ile możności na równi z resztą Europy znaczyło i dla naszych reformatorów tyle, co zbliżyć się jak najwięcéj do Francji.

Nie potrzebujemy powtarzać, że ta reforma miała u nas podwójny kierunek: umysłowy i polityczny, i dla nieuchybienia prawdzie wspomnimy tylko, że już w XVII wieku czyniono u nas podobne usiłowania. Zamiar zaprowadzenia sukcesji tronu za Jana Kazimierza wyrósł pod wpływem francuzkiego monarchizmu, a Morsztynowie już w tym samym czasie tłomaczyli francuzkie tragedje. Obie te próby uderzały od razu w najsilniejsze strony i dla tego może pozostały tylko próbami, po których nastąpiło dosyć długie milczenie aż do chwili, gdzie nie tak głośno i śmiało podjęto znowu zaniechaną na jakiś czas robotę, prowadząc ją z większą usilnością i wytrwaniem.

Nic smutniejszego jak stan oświecenia w Polsce w początkach XVIII wieku. Wszystkie szkoły, tak akademickie (t. j. zostające pod zwierzchnością akademji krakow.) jak jezuickie i pijarskie wreszcie nie dawały więcéj światła, jak szkoły w czasach największéj ciemnoty wieków średnich. Nie było na nich ani śladu owego świetnego odrodzenia przed półtora wiekiem: uczono mówić kuchenną łaciną, ale nie dano poznać wartości ani jednego klasycznego autora; powrócono do filozofji Dunsa Skota i św. Tomasza, ale pod klątwą były nazwiska Kartezjusza i Bakona; nie uczono historji, ale wprawiano uczniów do pisania panegiryków na herb tego lub owego dygnitarza; wierzono lub przynajmniéj tolerowano wiarę w exorcyzmy i upiory, ale za heretyka miano tego, ktoby się odważył robić doświadczenia fizyczne, a cóż dopiero utrzymywać z Kopernikiem, że się ziemia na około słońca obraca. Trudno również o tak nędzne, z wszelkiéj żywotnéj siły obrane piśmiennictwo, jak to, które z końcem XVII w. i przez połowę XVIIIgo zmarnowało tyle papieru i farby drukarskiéj na puszczanie w świat, niskiém pochlebstwem zaprawnych, panegiryków albo lichych tłomaczeń najlichszych zagranicznych romansów, albo wreszcie ascetycznych wierszydeł, przestraszających imaginację czytelnika obrazami ostatecznego sądu i piekła, odzierającemi najwznioślejsze ustępy biblji z ich poezji przez poziomość lub rubaszność swego języka. Poezja szlachecko-rycerska, satyra polityczna, z których niegdyś tryskało życie narodowe, zamilkły zupełnie — jak gdyby cały naród przemienił się w płaszczących się dworaków i obojętnych na świat anachoretów. Stłumienie ducha było jak najwyraźniejsze, żadna śmielsza myśl w nim nie postała; sprawy publiczne pozostawiono na opatrzność; ten tylko może dbał o nie i był ich ciekawy, kto przy nich osobistego zysku mógł się spodziewać; wierzono we wszystko bez braku: i w to co jest prawdą i w to co fałszem, aby tylko w żadnym punkcie nie zgrzeszyć przeciwko wierze. Całe mnóstwo narodu zdało się przemienionem w jednę bezwładną, obojętną na wszystko masę, która w ostatnim razie mogła służyć jedynie za ślepe narzędzie w obcéj ręce, jeśliby ta zbyt wielkich rzeczy od niego nie wymagała. Gdyby Filip II lub nawet nasz Zygmunt III miał był podobnych poddanych, ująwszy im tylko trochę nic zresztą nieznaczącéj buty, byłby zapewne bardzo szczęśliwy i zadowolony ze swego ludu.

W tym samym jednak czasie znaleźli się ludzie, lubo w dość szczupłéj liczbie, którzy nie zgadzali się z panującym stanem oświaty i politycznych wyobrażeń. Zrazu były to usiłowania bez wielkiego rozgłosu i wpływu, kończące się na zadowolnieniu własnych potrzeb duchowych, bez narzucania ogółowi przepisów i praw, że powinien dla swego dobra tą a nie inną drogą postępować. Wszystkich tych ludzi owiewał wiatr z Zachodu wiejący i porywał za sobą prąd francuzkiéj cywilizacji. Na samym krańcu XVII wieku stoi osamotniony w ówczesném społeczeństwie Herakljusz Lubomirski, niepodobny ani do dawnych klasyczno-szlacheckich pisarzy, ani współczesnych sobie panegirystów i ascetyków, chociaż ta różnica pokazuje się w jedném tylko jego dziele, nie ocenioném dotąd podług wartości, t. j. w Rozmowach Artaxessa i Ewandra, bo w reszcie swych utworów, mianowicie w swych wierszach, Lubomirski zadawał kłam własnéj swojéj teorji. Takiego, jakim go widzimy w tych Rozmowach, musimy załączyć do liczby ludzi nowych, do reformatorów, którzy literaturę i politykę chcieli pchnąć na nowe tory, do ludzi z ostatnich lat czasów saskich i panowania Stanisława Augusta. Wszystko, czego ci pragnęli, znajduje się już w książce Lubomirskiego, lubo w ogólnych zarysach: otrząśnienie się z makaronizmów, zwrot ku literaturom nowożytnym, przyswojenie sobie zdobyczy naukowych przez Europę poczynionych i wreszcie zastosowanie polityki krajowéj do polityki, panującéj wówczas wszędzie z wyjątkiem jednéj Polski. „Podobieństwa wzajemnych interesów czynią przyjaźni stałe i trwałe między królestwami…“ powiada Lubomirski na jedném miejscu swych Rozmów. Czyż nie czujemy, wyprowadziwszy z tych słów zawarte w nich wnioski, że to jedno zdanie burzy cały polityczny systemat, jakiego się trzymała Polska, systemat oparty na uczuciowości i idealném braterstwie chrześcijańskich ludów… Z tych kilku słów widać, że Lubomirski bliżéj był duszą Machiavela i Richelieu'go, niśli tradycji swoich ojców, a ogólna myśl jego politycznego poglądu była taż sama, jaką wypowiedział późniéj w sto lat blisko Staszyc, kiedy przepowiadał Polsce, że „zginie, jeżeli w prawach wolności osobistéj i własności ziemi, jeżeli w ustawie swego wewnętrznego rządu nie będzie stosować się do politycznego krajów związku.“

Dzieło Lubomirskiego, gdyby nie było padło na nieprzygotowaną do zasiewów rolę, mogło było wielki wpływ wywrzeć na swoje pokolenie. Tego znaczenia nie mogły nigdy dostąpić usiłowania późniejszych trochę nowatorów, jak ks. Józef Alex. Jabłonowski albo Ulryk ks. Radziwiłł, którzy zbierali książki, zakładali bibljoteki i towarzystwa, oddawali się badaniom dziejów z zastosowaniem nowożytnéj krytyki, albo którzy, jak sławny towarzysz Sobieskiego, hetman St. Jabłonowski, niezgrabnym wierszem tłomaczyli Lafontena i Telemaka. Wszyscy oni jednak ułatwiali zadanie przyszłym reformatorom i byli jakby słabym świtem wschodzącéj jutrzenki. Król-filozof Stanisław Leszczyński, Stanisław i Andrzéj bracia Załuscy, wreszcie Stanisław Konarski — wszyscy sobie współcześni i duchem pokrewni, byli przeznaczeni dopełnić albo próbować tego przeobrażenia, jakie Polska zdolną była uczynić w ciągu XVIII wieku tak w życiu politycznem jak i umysłowém.

To, co ci ludzie doprowadzili do skutku, da się streścić w następnych słowach: istniejąca forma rządu została poddana krytyce, uznana za wadliwą pod wielu względami i potrzebującą zmiany w duchu nowożytnéj

polityki; dawne wychowanie jezuickie zostało sparaliżowane i po części przynajmniéj zastąpione postępowém, jakie na się wzięli Pijarzy i kolegjum Konarskiego w Warszawie; niektóre przesądy i zabobony zostały potępione ze strony władzy duchownéj; powstało w kraju kilka bibljotek prywatnych, pomiędzy któremi bibljoteka Załuskich przewyższała ilością książek wszystkie dotąd istniejące w Polsce; makaronizmy w piśmie i w mowie zostały potępione; za wzór dobrego smaku została ogłoszona literatura francuzka. Jak więc widzimy, wszystkie idee, około których obracała się praca wewnętrzna narodu w ciągu panowania Stanisława Augusta, poruszone były przez tych ludzi jeszcze przed śmiercią drugiego Sasa.

Ówczesne stosunki polityczne Polski przyczyniły się bardzo wiele do przyspieszenia i wprowadzenia w życie tych reform. Nigdy jeszcze nie zostawała Polska w tak bliskich i nieprzerwanych stosunkach z Francją, jak w wieku XVIII. Otoczona zewsząd nieprzyjaznemi państwami, w tym czasie tak krytycznym dla siebie, zwracała się z nadzieją pomocy i przyjaźni na Zachód, do państwa, mającego interes w jéj utrzymaniu i do narodu sympatyzującego z nią swoim charakterem. Można śmiało powiedzieć, że urok Francji dla Polski był większy niż dla któregokolwiek innego narodu w Europie; innych pociągała Francja ku sobie wyższością swéj polityki i cywilizacji, Polaków prócz tego chwytała za serce jako jedyny przyjaciel i obrońca, chociaż więcéj w tém było naszego zaślepienia i ułudy, niśli rzeczywistych chęci i przysług ze strony Francji. Wszyscy nasi reformatorowie przez czas dłuższy, po kilka lat przebywali we Francji, a król Stanisław Leszczyński, otrzymawszy dożywotni tron w Lotaryngji, stał się pośrednikiem pomiędzy obu krajami, który gorliwie nad tém pracował i tego pragnął, aby oświata francuzka jak najprędzéj i jak najobficiéj dostawała się do jego ojczyzny. Przyjmowaliśmy zatém tę zagraniczną cywilizację nietylko jako konieczność historyczną, ale też jako dar ofiarowany przez przyjazną rękę.

Nie od razu jednakże ta literatura francuzka nauczyła nas jak tworzyć swoją własną. Reformatorowie z czasów saskich jak Konarski, jak Załuski Andrzéj znali dobrze przepisy estetyków francuzkich i historję literatury francuzkiéj, nie doszli jednak w swojéj wiadomości do tego stopnia, aby pisać na wzór Francuzów. Wątpimy, aby nieznana oryginalna tragedja Konarskiego „Epaminondas“ pokazała się podobną do utworów Kornela i Rasyna, te zaś tragedje, które pisali Andrzéj Załuski lub nawet więcéj od niego zbliżający się do francuzkich wzorów Wacław Rzewuski, niekorzystne dają wyobrażenie o twórczym talencie tych pisarzy i o ich zdolności naśladownictwa. Załuski, który pierwszy wypowiedział głośno i wyraźnie wyższość literatury francuzkiéj, który swojém zdaniem o Atalji, że „jak świat światem nie mieliśmy i mieć nie będziemy piękniejszéj tragedji“ (w Przed. T. II. Zbiór Rytm.) ogłosił niby herold wszechwładne odtąd panowanie nowego smaku i pojęć literackich, pisał tak jak współcześni mu Jezuici potwornych rozmiarów i kształtów mysterja o sądzie ostatecznym i znieważeniu Eucharystji, w tłomaczeniach jedynie niektórych francuzkich autorów składając hołd wyznawanéj przez siebie teorji. Podobnie jak on i inni zajmowali się tylko tłomaczeniami, w których ręką nieumiejętną zacierają artystyczne cechy oryginałów. Daleko jeszcze było do tego, co późniéj za czasów Stanisława Augusta widzimy, kiedy nasi pisarze, odbywszy szkołę u Francuzów, przejąwszy się ich smakiem i zasadami, tworzyli dzieła oryginalne, na których oprócz obcego wpływu znać bardzo wyraźnie samodzielną rękę ich twórców. Przez jakiś czas zatém był to wpływ jedynie bierny — wskazaną tylko była droga, ale nie odważano się i nie miano siły w nią się puszczać.

Za wstąpieniem na tron Stanisława Augusta szły rzeczy przyspieszonym krokiem, wszystkie okoliczności sprzyjały rozwinięciu się oświaty w nowym duchu. Na tronie siedział król, który ze wszystkich obowiązków, jakie na monarchach ciążą, najzdolniejszym był do tego, który im nakazuje utrzymywać i rozszerzać światło w narodzie. Nie było w Polsce króla, któryby posiadał wyższe i gruntowniejsze od Stanisława Augusta wykształcenie; a nawet kiedy niedługo potém tron jego otoczyło liczne grono zdolnych i uczonych mężów, Stanisław August jako erudyt, jako znawca sztuk pięknych a nawet jako pisarz (czego mamy dowody n. p. w jego korespondencji) nie ustępował z nich żadnemu i mógł się czuć między nimi jako równy między równymi. Z całego téż jego panowania najjaśniejszą kartę stanowi ta, która zawiera dzieje literatury. Mecenasostwo piszących i piśmiennictwa objął człowiek najwyżéj w kraju stojący, od którego spływały łaski i zaszczyty na wszystkie pojawiające się talenta. Zniesienie zakonu jezuickiego usunęło ostatnią tamę nowego porządku w wychowaniu i literaturze, a majątkiem tego zakonu uposażona Komisja edukacyjna, najlepsza w Europie ze współczesnych magistratur naukowych, otrzymała swobodne pole działania. Z jéj ramienia reformowano zakłady naukowe i pisano książki dla młodzieży; wszystkie prawie umysły, które pod koniec bytu Rzpltéj odznaczyły się szlachetnością i zdolnościami, należały do pokolenia wyrosłego pod skrzydłami téj dobroczynnéj instytucji, wychowanego podług nowych zasad i w duchu postępowym. Klęska poniesiona przez Polskę, kiedy dokonano na niéj pierwszego rozbioru, nie powstrzymała tego ruchu umysłowego, ale owszém dodała mu więcéj siły i znaczenia. Po odebranym od zewnątrz ciosie stało się prawie ogólném przekonaniem, że trzeba wzmacniać się na wewnątrz dobrym rządem, przemysłem i oświatą wynagrodzić poniesioną stratę i zabezpieczyć się od drugiéj podobnéj na przyszłość. Wszystkie siły najświatlejszych i najdzielniejszych ludzi były ku temu celowi skierowane, tak, że czas między pierwszym a drugim podziałem jest właśnie epoką najświetniejszą dla literatury i postępu.

HELENA.

Powieść Turgenjewa.

(Ciąg dalszy.)

IV.

— Ależ chodźcie już panowie raz do stołu, chodźcie, wołała gospodyni żałosnym głosem, i wszyscy weszli do sali jadalnéj. Zoe siądź obok mnie, ty Helenko baw gościa a ciebie proszę, Pawle, daj pokój żartom i przestań drażnić Zoe; mnie dziś tak głowa boli.

Szubin wzniósł w niebo oczy; Zoe lekko się uśmiechnęła w odpowiedzi. Panna Zoe Müller była to młoda

ładniutka blondynka, z małym, ledwie dostrzegalnym zezem; pulchna Niemeczka o zadartym małym nosku i pięknych karminowych usteczkach. Śpiewała niezgorzéj rosyjskie romance, grała téż wcale dobrze na fortepjanie pewną ilość wesołych lub smutnych kawałków, ubierała się gustownie, trochę jednak zbyt dziecięco i zbyt téż strojnie. Anna Wasilewna wzięła ją za towarzyszkę dla swéj córki, ale ani na chwilę prawie nie pozwalała jéj odejść od siebie. Helena nic nie miała przeciw temu, bo ilekroć przypadkowo znalazła się sam na sam z panną Zoe, nie wiedziała nigdy o czém z nią mówić.

Przy stole, gdzie siedziano dość długo, Bersenjew rozmawiał z Heleną o życiu akademickiém, o swoich na przyszłość planach i nadziejach; Szubin słuchał, milczał, jadł z przesadnym pośpiechem i od czasu do czasu rzucał komiczne spojrzenia na Zoe, która na nie zawsze jednakim flegmatycznym, niemieckim odpowiadała uśmiechem. Skoro od stołu powstano Bersenjew, Helena i Szubin wyszli do ogrodu; Zoe spojrzała za nimi, lekko wzruszyła ramionami i usiadła do fortepjanu. Wprawdzie spytała ją Anna Wasilewna: czemu nie idziesz także do ogrodu, — ale nie czekając odpowiedzi dodała zaraz: zagraj mi co bardzo tęsknego...

— La dernière peusée de Weber? spytała Zoe.

— Ach, tak, Webera, odpowiedziała Anna Wasilewna, usiadła w fotelu i łza zadrżała na jéj rzęsie.

Podczas tego Helena z obu swemi towarzyszami doszła do altany akacjowéj, w któréj stał stół drewniany otoczony ławkami. Szubin ociągał się chwilę, potém z cicha wymówił: poczekajcie! pobiegł do swego pokoju, przyniósł z niego kawał gliny i rozpoczął wśród mruczenia, kiwania głową i śmiechu modelować popiersie panny Zoe.

— Zawsze taż sama historja, rzekła Helena do Bersenjewa, rzuciwszy przelotne spojrzenie na robotę kuzyna, i powróciła znów do przerwanéj przy stole rozmowy.

— Taż sama historja! powtórzył Szubin. Toż to przedmiot niewyczerpany! Dziś zwłaszcza doprowadza mnie do rozpaczy.

— A to czemu? spytała Helena. Mógłby kto myśleć, że mówisz o jakiéj staréj, wstrętnéj kobiécie... Młoda, ładna panna...

— Istotnie, dorzucił Szubin, — jest ładną, bardzo ładną nawet; pewien jestem, że każdy przechodzień widząc ją, musi pomyśleć natychmiast: z tą chętniebym... przetańczył polkę; i równie pewien jestem, że ona wié to dobrze i że bynajmniéj nie jest jéj to nieprzyjemném. Na cóż więc ta komedja prostoty i naiwności, na co udana ta skromność? No, wy już rozumiecie co przez to chcę powiedzieć, wycedził przez zęby. Ale teraz jesteście państwo czém innem zajęci.

I rozbijając popiersie, począł gorączkowo, na pozór gniewnie gnieść glinę w palcach.

— Chcielibyście więc zostać profesorem? pytała Helena Bersenjewa.

— Tak, odparł tenże nie wiedząc jaką pozycję nadać czerwonym swym rękom, to sen mego życia. Wiem dobrze, jak wiele brak mi aby stanąć na wysokości tak wielkiego... chciałem powiedzieć, że niedokładnie bardzo jestem przysposobionym, mam przecież nadzieję wyjechania za granicę, pozostanę tam trzy, cztery lata, jeśli tego okaże się potrzeba, a potém... Zatrzymał się, spuścił oczy, poczém podniósł je szybko i z swobodnym uśmiechem przyprowadzał swe włosy do porządku. Bersenjew rozmawiając z kobiétami mówił jeszcze wolniéj niż zazwyczaj.

— Więc będziecie profesorem historji? spytała Helena.

— Tak, lub filozofji, dodał zniżając głos, jeśli mi się to uda.

— Dziś już jest djablo mocny w filozofji, zauważył Szubin, po cóż więc jeździć za granicę?

— A czy to stanowisko zadowolni was całkowicie? spytała Helena i oparłszy głowę na ręku, patrzała prosto w twarz jego.

— Jak najzupełniéj, Heleno Mikołajewno. Bo czyż istnieje wyższe powołanie? Pomyślcie, wstąpić w ślady Granowskiego...*) Sama myśl o takiém polu działania napełnia mnie radością ale i trwogi dreszczem, tak... dreszczem... który z przeświadczenia o niedostateczności sił moich pochodzi. Zmarły mój ojciec pobłogosławił mnie na tę pracę... Ostatnich słów jego nigdy nie zapomnę...

— Wasz ojciec zmarł zeszłéj zimy?

— Tak, Heleno Mikołajewno, w lutym.

— Mówią, ciągnęła daléj Helena, że pozostawił uwagi godne dzieło w manuskrypcie; czy to prawda?

— Tak, pozostało. Jakiż to był dobry człowiek. Bylibyście go polubili, Heleno Mikołajewno.

— O tém nie wątpię. A jaką jest treść tego manuskryptu?

— Treści, Heleno Mikołajewno, nie mógłbym wam tak łatwo kilkoma słowami określić. Ojciec mój był człowiekiem bardzo uczonym, Szellingistą, niezawsze używał jasnych wyrażeń.

— Andrzeju Piotrowiczu, przerwała Helena, przebaczcie mi moją nieświadomość, co znaczy Szellingista?

— Bersenjew uśmiechnął się zlekka.

— Szellingista oznacza zwolennika Szellinga, niemieckiego filozofa, na czém jednak polegało zapatrywanie się Szellinga...

— Andrzeju Piotrowiczu! zawołał nagle Szubin, na miłość boską! przecież nie zechcesz rozpocząć w obec Heleny Mikołajewny wykładu o Szellingu? Miejże litość!

— Ależ bynajmniéj nie wykład, tłomaczył się Bersenjew i zaczerwienił się po same uszy, chciałem...

— A czemużby nie wykład? dorzuciła Helena. My oboje, Pawle Jakowlewiczu, bardzo potrzebujemy wykładów.

Szubin spojrzał jéj w oczy, potém nagłym wybuchnął śmiechem.

— Z czegoż się śmiejecie? spytała oschle, niemal surowo.

Szubin umilkł nagle.

— Ah, proszę, nie gniewajcie się na mnie, rzekł po chwili, przebaczcie mi. Ale w rzeczy saméj czyż to podobna, teraz, w tém wonném powietrzu, pod temi drzewami mówić o filozofji? Czyż nie lepiéjby było abyśmy mówili o słowikach, różach, o młodych twarzach i uśmiechach?

— Tak, i o francuzkich romansach, i o kobiécym świecie, dodała Helena.

— Dla mnie i o tém, byle ten światek był tylko pięknym.

— Tak? A jeśli my nie mamy ochoty mówić o tym kobiécym świecie? Z dumą mianujecie się wolnym artystą, czemuż więc chcecie ścieśniać wolność innych? I — pozwólcie sobie uczynić to pytanie, czemu przy tym sposobie myślenia nie zawrzecie przymierza z Zoe, czemu przeciw niéj występujecie?

Szubin porwał się z ławki.

— Tak więc, tak to, rzekł niepewnym głosem. Rozumiem dobrze co to ma znaczyć; odsyłacie mnie do niéj, Heleno Mikołajewno. Innemi słowy, jestem tu zbytecznym.

— Nie przyszło mi na myśl nawet odsyłać was.

— Chcecie powiedzieć, ciągnął Szubin, żem nie wart lepszego towarzystwa, że najstosowniejsi jesteśmy

---

*) Profesor moskiewskiego uniwersytetu, powszechnie kochany przez uczniów. (Przyp. Tłom.).

dla siebie, żem równie płytki, ograniczony i małostkowy jak słodkawa Niemka? Czyż nie tak?

Helena ściągnęła brwi.

— Niezawsze mówiliście o niéj w ten sposób, Pawle Jakowlewiczu, zauważyła.

— Ah! wymówki, teraz wymówki! zawołał Szubin. A więc dobrze, nie robię z tego tajemnicy, że była chwila, tak, jedna jedyna chwila, w któréj mnie ta świéża, bezmyślna twarzyczka... Gdybym i ja chciał wam robić wymówki, gdybym chciał wam przypominać... Bądźcie zdrowi, urwał nagle, to doprowadzić może do szaleństwa!

I uderzając ręką o glinę tworzącą kształt ludzkiéj głowy, wybiegł z altany i udał się w stronę swego pokoju.

— Dziecko, rzekła Helena patrząc za nim.

— Artysta, rzekł z uśmiechem Bersenjew. Oni wszyscy tacy. Trzeba ich pozostawić ich kaprysom. To ich prawo.

— Dobrze, odparła Helena, Paweł jednak nie zdobył sobie dotąd niczém tego prawa. Cóż on do dziś dnia stworzył? Podaj mi pan ramię, przejdziemy się trochę. Przerwał nam rozmowę. Mówiliśmy o pracy waszego ojca.

Bersenjew podał rękę Helenie, szli obok siebie ale raz przerwana rozmowa nie dała się już nawiązać. Powrócono znów do planów przyszłego profesora uniwersytetu.

Bersenjew ani razu nie spojrzał na twarz Heleny, za to rozmowa płynęła mu łatwo choć nie całkiém swobodnie, wyrażał się na ten raz jakoś prosto i jasno; wzrok jego, błąkający się po pniach drzew, to po piasku ścieżek, błyszczał spokojnym ogniem wewnętrznego wzruszenia i uczuć szlachetnych, w spokoju głosu brzmiała radość, jakiéj doznajemy mogąc rozmawiać z ukochaną istotą. Helena słuchała go uważnie i na wpół ku niemu zwrócona nie spuszczała oka z jego twarzy nieco pobladłéj, z jego łagodnych, przyjaznych oczu, które przecież tak unikały spotkania się z jéj wzrokiem. W serce jéj wstąpiły uczucia serdeczności, sprawiedliwości i wyrozumienia.

V.

Aż do późnéj nocy nie wyszedł Szubin z swego pokoju. Zciemniło się zupełnie, księżyc już był wysoko, na niebie jaśniała bladém światłem droga mleczna a gwiazdy migotały, kiedy Bersenjew, pożegnawszy się z Anną Wasilewną, Heleną i Zoe stanął u drzwi przyjaciela. Zastał je zamknięte, zapukał więc.

— Kto tam? ozwał się głos Szubina.

— To ja, odpowiedział Bersenjew.

— Czego chcesz?

— Wpuść mnie, przestań się dąsać; czyż ci nie wstyd?

— Nie dąsam się, śpię i we śnie widzę obraz ukochanéj Zoe.

— A więc słuchaj. Tyś dziecko, wpuść mnie, chciałem z tobą pomówić.

— Czyś się jeszcze nie nagadał do syta z Heleną?

— Ależ posłuchaj mnie wreszcie; wpuść mnie!

Szubin udał chrapanie. Bersenjew wzruszył ramionami i oddalił się.

Noc była ciepła i dziwnie cicha, jakby w okół wszystko oczekując na coś nieznanego, słuch natężywszy stało na czatach; i Bersenjew, otoczony nieprzeniknioną ciemnością stanął mimowolnie, zasłuchał się w téj ciszy i stanął na czatach. Lekki szelest, podobny do szelestu jedwabnéj sukni, od czasu do czasu dawał się słyszeć wśród wierzchołków drzew poblizkich, obudzał on w Bersenjewie jakieś przyjemne a tęskne wrażenie, coś w rodzaju trwogi. Lekki dreszcz przebiegł po jego twarzy, z oczu stoczyła się nagle łza zimna; chciałby był jak najciszéj ztąd się oddalić, ukryć się, zniknąć... Naraz tuż obok niego przeciągnął ostry, przenikliwy podmuch, jemu się zdało, że to westchnienie ludzkiéj piersi: drgnął cały i skamieniał niemal; senny chrabąszcz upadł z gałęzi u nóg jego; mimowolny okrzyk wyrwał się z ust Bersenjewa. Począł myśleć o Helenie i w téjże chwili pierzchły wszystkie dotychczasowe wrażenia; pozostało tylko ożywcze poczucie nocnego chłodu i nocnéj przechadzki; obraz Heleny zajął całą myśl jego wyłącznie. Ze spuszczoną na piersi głową szedł rozbierając w myśli jéj słowa i jéj pytania.

Nagle zdało mu się, że usłyszał przyspieszone kroki po za sobą. Stanął nasłuchując; ktoś szedł, biegł niemal, chciano go widocznie dogonić, mógł już rozróżnić wyraźnie nierówny, przerywany oddech; w téj chwili wynurzył się z cieniu wielkiego drzewa Szubin, bez czapki, z rozrzuconym w nieładzie włosem, blady w księżycowém świetle.

— Jakże się cieszę, że tą właśnie drogą poszedłeś, wymówił bez tchu prawie, — nie mógłbym był usnąć noc całą, gdybym cię nie był dogonił. Podaj mi rękę. Czy idziesz prosto do domu?

— Tak, do domu.

— Będę ci towarzyszył.

— Bez czapki?

— Nic nie szkodzi; i krawat zrzuciłem... tak gorąco.

Przyjaciele uszli kilka kroków.

— Nieprawdaż, żem dziś postąpił jak błazen? spytał nagle Szubin.

— Prawdę mówiąc, tak. Nie mogłem cię pojąć. Takim nie widziałem cię jeszcze nigdy. I o co się tak rozgniewałeś, czyż to było potrzebne! Czyż warto było o taką drobnostkę?

— Hm, mruknął Szubin. Ty możesz tak mówić, ale dla mnie to nie drobnostka bynajmniéj. Bo widzisz, dodał, — muszę ci wyznać, że... że... myśl o mnie co chcesz... ja... no tak! ja kocham Helenę.

— Kochasz Helenę! powtórzył Bersenjew.

— No tak, rzekł Szubin z udaną obojętnością. To cię dziwi? Powiem ci więcéj. Aż do dzisiejszego wieczora mogłem mieć nadzieję, że i ona z czasem mnie pokocha. Dziś jednak przyszedłem do tego przeświadczenia, że niczego w świecie spodziewać się nie mogę. Ona kocha innego.

— Innego? Kogóż to?

— Kogo? Ciebie! zawołał Szubin uderzając Bersenjewa po ramieniu.

— Mnie?

— Ciebie! powtórzył Szubin.

Bersenjew cofnął się o krok i stanął nieporuszony. Szubin bacznie mu się przyglądał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wystawa wiedeńska.

VIII.

Niech sobie Niemcy co chcą prawią o upadku sztuki we Francji, zarzucając jéj to bezduszność, to czczość pomysłów i brak poważniejszego kierunku, dla nas Francja tak w pałacu przemysłowym jak i w pawilonie sztuk pięknych wydała się narodem, któremu systematyczne, sztywne Niemcy jedynie zazdrościć, w żadnéj mierze wyrównać nie są zdolne.

Na wystawę wiedeńską nadesłała Francja 1550 rzeźb i obrazów, z których większość chlubne daje świadectwo o rozwoju sztuk pięknych w ojczyznie takich malarzy jak Meissonier, Delacroix, Bréton, Gérome, Regnault, Clément, Cabanel, Fleury i t. d. Dwaj pierwsi z wymienionych tu artystów reprezentują w galerjach francuzkich malarstwo historyczne, tylko, że gdy Delacroix przedstawia kierunek idealny, marzycielski, drugi kroczy drogą realizmu, lecz realizmu szlachetnego, pełnego zapału i szczytnych popędów. Z dzieł Delacroix'a szczególniejszą na się zwracają uwagę „Krzysztof Kolumb w klasztorze“, „Medea“ a daléj „Chrystus na krzyżu“, „Appolo pokonujący węża Pythom.“ — Meissonier przysłał na wystawę wielkie płótno przedstawiające „Atak kirasjerów pod Waterloo“, daléj „Forpoczty wielkiéj armji pod Frydlandem“, niemniéj kilka mniejszych obrazów rodzajowych, dających miarę wesołego usposobienia tyle poważnego na polu historyczném artysty.

Malarstwo specjalnie rodzajowe licznych widocznie we Francji znajduje zwolenników, pierwsze atoli na tém polu miejsce należy się Vibertowi, którego utwory odznaczają się niezrównanym humorem, zaprawnym częstokroć gryzącym sarkazmem. Jego „Pokusa“, „Stacja pocztowa“ najlepszym tego dowodem. Tu i tam główna rola przypada mnichom, nad których słabostkami nielitościwie znęca się artysta.

Słuszny zarzut spotyka Francuzów, iż w obrazach swych nie zdołali wznieść wieśniaka nad poziom życia codziennego i najniższych zatrudnień, owszém zrobili zeń machinę przeznaczoną do porania się z codziennemi kłopotami. W téj mierze o wiele podnioślejsze zajęły stanowisko Niemcy, w których utworach opromieniono wieśniaka swobodą, miłością i nadano mu pewien wdzięk nieomieszkujący przyjemne w duszy widza wywołać wrażenie. W Brétonie, głównym reprezentancie malarstwa wiejskiego, skupia się zarzut co dopiéro zrobiony malarstwu francuzkiemu. W jego „Błogosławieniu zbiorów“, „Powrocie żniwiarek“, „Procesji“ widzimy zawsze i wszędzie jedno i to samo: przykucie biedaków do gleby, do rydla i pracy na kawałek chleba. Wznioślejszym od Brétona wydał nam się Millet, który obok realnéj pracy nie zapomina o szlachetnéj artystycznéj formie.

Niemniéj od innych rodzajów malarstwa, obficie w oddziale francuzkim przedstawionym jest dział malarstwa religijnego. Ściśle kościelny atoli i idealny kierunek, wytworzony przez Hipolita Flandrin i Orscha, pozostał bez naśladowców. Dzisiejsi artyści wywiązują się wprawdzie bardzo zręcznie, niemal po mistrzowsku z zadań przekazanych im tradycją, w utworach ich atoli brak silniejszego uczucia i głębszego zainteresowania się charakterami typowemi świętéj historji. To cośmy tu powiedzieli tyczy się Laurensa „Chrystusa wypędzonego z synagogi“, daléj Grellota „Chrystusa w gronie kobiét kanaańskich, Monchoblona „Świętéj rodziny“, które to dzieła zawieszono nie w pałacu sztuk pięknych, lecz w galerjach wystawy miasta Paryża. Mistrzowskim natomiast i pełnym siły dramatycznéj jest obraz Bonnata, przedstawiający „Św. Wincentego w okowach“, tudzież Thiriona „Św. Seweryn rozdzielający jałmużnę“ i tegoż samego artysty „Pustelnicy Paweł i Antoni“, dzieło pełne dzikiego, ascetycznego nastroju.

Niepodobna zwiedzającemu galerje francuzkie minąć obojętnie dwa wielkie płótna Regnaulta, poległego śmiercią bohaterską pod Buzenval r. 1871. Regnault należał bezwątpienia do artystów obdarzonych niezrównanym talentem technicznym i umiejących wydobywać niezwykłe efekta nawet tam, gdzie o nie trudno, lecz przytém powodujących się najskrajniejszym realizmem, niekorzystnie mówiącym o poczuciu wiary i delikatności artysty. Jego „Wyrok bez sądu za maurytańskich królów w Hiszpanji“ jakieś przerażające, pełne grozy budzi wrażenie. Kat dokonał właśnie na jakimś nieszczęśliwym strasznéj egzekucji. Kadłub ściętego powalił się bezwładnie na stopnie krwią zbryzganego rusztowania; siepacz spogląda spokojnie na szeroki miecz, widocznie dumny ze swego mistrzowskiego cięcia. Ranzoni, jeden z najznakomitszych choć niewolnych od stronniczego poglądu krytyków niemieckich, poświęcając dłuższe Regnaultowi uwagi, tak pisze z powodu obrazu „Wyrok bez sądu“: „Cały utwór jest obrzydliwością, która w pierwszéj chwili wzbudza wstręt, a potém zamiast przerażenia zamierzonego uśmiech politowania. W swém barbarzyństwie, w swym dzikim cynizmie przypomina on słynny coup de théatre, bardzo niegdyś w Wiedniu cenionego aktora Bergopzoom, który, mając się na scenie sztyletować, aby rzeczy dodać naturalności zatapiał mordercze żelazo z całą siłą w ukryty pęcherz krwią przepełniony. Krew tryskała wtedy z wielką gwałtownością, a śmiertelne podrygi traciły cechę udawania, stawały się przerażającą prawdą. To zboczenie umysłowe artysty, pod wielu względami świetnie uzdolnionego, świadczy nietylko o braku poczucia miary i delikatności poznania, lecz o zdziczeniu w skutek zblazowania i stawia takiego człowieka co do moralnéj wartości na równi z ową bogatą i niczego sobie nie potrzebującą odmawiać damą arystokracji wiedeńskiéj, która, aby swe przytępione nerwy podniecić, potrzebowała widoku krwawych ran i w tym celu przez kilka lat codziennym bywała gościem w oddziele szpitalu, gdzie najokropniejsze operacje wykonywano. To, co drugim męki sprawia, jéj było tylko ciekawém widowiskiem, które jéj nudy rozpraszało.“ Ranzoni zatytułował rubrykę, w któréj tak surowéj poddał krytyce obraz francuzkiego artysty: „Bzik w sztuce.“ Pod rubrykę rzeczoną dostało się także tyle chwalone a nawet podziwiane płótno Clairego, zatytułowane przez artystę „Widowisko ludzkiéj głupoty.“ Naprzód wpada nam w oczy bardzo elegancki, rokoko ubrany mężczyzna, który jak jarmarkowi krzykacze przed budą wędrownych skoczków, muzeum lub menażerji, z grzecznym ukłonem i wiele obiecującą miną zaprasza nas do rzucenia okiem na dziwy, które ma do pokazania. Za nim stoi obraz z czterema lekko naznaczonemi przegrodami; na pierwszéj od lewego biust uwieńczony historyka Thierrego; na trzech dalszych trzy oddzielne obrazy, które mają okazywać, że fanatyzm był po wszystkie czasy ślepą siłą, co tylko do głupstwa albo do okrucieństwa ludzi pędziła. Nie rozbierając tendencji, trzeba przyznać, że obraz ten zawdzięcza swój początek jedynie zapoznaniu granic, jakie malarstwu tak jak wszystkim sztukom są wytknięte.

Rozstając się z galerjami francuzkiemi trudno nam nie dotknąć kilkoma słowy wystawy miasta Paryża (Exposition spéciale de la ville de Paris), pozostającéj w związku z wystawą sztuk pięknych, choć umieszczoną nie tutaj, lecz w pałacu przemysłowym. Na wystawie téj znajdujemy cały szereg płócien, sztychów, fotografji, medali przedstawiających najznakomitsze budowle Paryża, kościoły, gmachy publiczne, pałace, szkoły, koszary,

teatra, więzienia, place publiczne i t. d. Tu zawieszono kilka niepośledniéj wartości obrazów treści religijnéj, tu olbrzymie płótno Roberta Fleury przeznaczone dla sali posłuchalnéj trybunału handlowego, tu wielkie kartony malowideł na szkle, kartony ścienne, prześliczne fotografje i t. d. Wystawa ta sama przez się imponujące robi wrażenie a to tém więcéj, gdy weźmie się na uwagę, że jest ona dziełem wyłączném miasta, które dwa lata temu przeszło przez wszystkie najstraszniejsze fazy oblężenia, kapitulacji i wojny domowéj. Daremnie szukać czego podobnego w galerjach zwycięzkich i w togę nieprześcignionéj zarozumiałości odzianych Niemiec! Wśród poniżenia, wśród klęsk doznanych Francja nie przestała być narodem, któremu najzawistniejsi przeciwnicy nie są w stanie odmówić zmysłu uszlachetniającego i artystycznego zapału.

Zbliżając się ku końcowi naszéj wyprawy po pałacu sztuk pięknych, niepodobna nam rzucić słowo pożegnania bez złożenia wizyty galerjom angielskim, o których w ogromnym chaosie, jaki przedstawia labirynt sztuk pięknych, o mało żeśmy nie zapomnieli. A szkoda byłaby większa niźliby na pozór zdawało się tym, co hołdując w téj mierze modzie, niejako przywykli odmawiać Anglikom na polu sztuk pięknych wszelkich wznioślejszych przymiotów. O ile zarzuty podobnego rodzaju polegają bądź to na uprzedzeniu, bądź na nieświadomości, dowodem galerje angielskie na wystawie świata. Wprawdzie dzieła, jakie tu znajdujemy utwierdzają nas w przekonaniu, że malarze angielscy słabymi tylko są kolorystami, równocześnie atoli przyznać musimy, iż taki Faéd śmiało stanąć może do boju z podobnemi znakomitościami jak Knaus, Vantier, Defregger i Romberg. Tegoż artysty „Ostatni rodu“ jest tak porywającéj piękności, tyle w nim siły wyrazu, tak znakomity koloryt i cały sposób przedstawienia, że bezwzględnie można go nazwać jeśli nie najlepszym, to jednym z najlepszych obrazów rodzajowych w całym zbiorze wystawy powszechnéj. Utwory Fritha choć niemniéj słynne, jednak stoją o wiele niżéj pod względem artystycznéj wartości. Odznaczają się wprawdzie wdzięcznością tematów, rozmaitością i bogactwem interesujących szczegółów, lecz koloryt ich zimny, niezdolny ożywić i porwać za sobą. Frith, jak zresztą wszyscy najlepsi malarze angielscy, należy do działu rodzajowego. Dziwna rzecz, że o ile w malarstwie rodzajowém celują angielscy artyści, o tyle w malarstwie historycznem lub w kompozycji idealnéj nie przedstawiają wybitnych talentów. Główną cechą malarstwa angielskiego jest szczególniejszy dar silnego charakteryzowania, dar, który tak potężnie objawiał i objawia się w piśmiennictwie narodu angielskiego począwszy od czasu Fieldinga i Smolleta aż do Boza i Thekeraya... Ależ główna forsa Anglików nie w obrazach olejnych, ale w akwarelach, których sława szeroko rozchodzi się po świecie, a których znakomitą kolekcję przechowują galerje angielskie. Wdawać się w rozbiór pojedynczych numerów tego zbioru nie będziemy, gdyż takowy tak umiejętnie został ułożony, że mówiąc o jednym, nie godziłoby się pominąć żadnego numeru, a na to nie starczyłyby szczupłe ramy pisma naszego. Zwiedzającym atoli wystawę nie możemy dość zalecić tego zbioru, poznanie bowiem dokładnie całości da nietylko należyty obraz jednego z najbardziéj narodowych zakresów sztuki angielskiéj, lecz nadto obznajomi z wielu stronami życia tego narodu. Jest to, jak się wyraża pewien krytyk, „cząstka“ Anglji, więcéj może, niż którykolwiek inny dział wystawy angielskiéj.

W ten sposób przeprowadziliśmy czytelników przez cały szereg galerji poświęconych sztukom pięknym. Kończąc pobieżny nasz opis nie możem nie wspomnieć choć kilkoma słowy o sztuce pięknéj u narodów azjatyckich, a przedewszystkiém Chińczyków i Japończyków, które to narody dowiodły przy sposobności wystawy wiedeńskiéj w wielokrotnym kierunku nader wymownie, że postęp nie jest li wyłącznym Europejczyków przywilejem. Dziwna rzecz, że gdy sztuka, jako część składowa robót rękodzielniczych stoi bardzo wysoko tak w Chinach jak Japonji, sztuka wyzwolona — malarstwo i rzeźba — nie wyszła z powijaków i zajmuje na wystawie wiedeńskiéj nader podrzędne stanowisko. Kto chce nabrać wyobrażenia na jakim stopniu stoi dziś sztuka piękna w Japonji przedewszystkiém, niech zwiedzi galerje pałacu przemysłowego, boć utwory malarzy chińskich i japońskich nie mogą na dziś rościć sobie pretensji do pawilonu, w którym sztuki piękne w całém tego słowa znaczeniu królują. Otóż w galerjach pałacu przemysłowego znajduje się dość obrazów malowanych na grubym papierze, przedstawiających już to kobiéty w różnych postaciach, już to symboliczne ryby i ptaki. O perspektywie nie ma tu mowy, o cieniowaniu artyści azjatyccy słabe tylko mają pojęcie, a gdyby nam przyszło wybierać, oddalibyśmy pierwszeństwo malowidłom na tapetach, w których przebija się wprawna ręka i dążność do wyzwolenia się z form dotychczasowych. Tapety te są dziełem najznakomitszych malarzy z Jeddo a przedstawiają różne krajobrazy: domy, drzewa, wodospady, pagórki i t. d., wszystko to oddane wiernie, lecz przytém z zabijającą jednostajnością. W każdym razie Chiny i Japonja więcéj zdziałały na polu sztuk pięknych, niśli ludy Wschodu, które wierne pod tym względem przepisom koranu, gardzą tém wszystkiém, co w jakimkolwiek zostaje związku z rzeźbą lub malarstwem.

Przegląd literatury zagranicznéj.

Don Francisco Pi y Margal — „Estudios sobre la Edad Media.“ Madrit 1873.

Nie potrzeba być zaiste pesymistą aby rozejrzawszy się spokojnie do koła powiedzieć sobie, iż żyjemy w najzupełniejszym odmęcie. Upadek nauk i pojęć moralnych, przesilenia finansowe i rozstrój organizacji państwowéj, nieład i najdziwaczniejsze sprzeczności — oto co spotykamy na każdym kroku pośród europejskich społeczeństw. Podstawy tak przechwalanéj cywilizacji naszego wieku przeżyły się widocznie a potrzeba nowego zwrotu, ożywczéj reakcji jest nazbyt widoczną.

Trudno domyślać się nawet zkąd wyjdzie taka reakcja — zapewne oprze się ona na jakiéj staréj zasadzie, na jakiéjś zapomnianéj i zapoznanéj dziś prawdzie — żadne bowiem z dzisiejszych społeczeństw nie przedstawia rękojmi, iż zdoła wyrobić coś nowego, coby inne zelektryzować i za sobą porwać mogło.

A powagi? a rządy? Pierwsze skrystalizowały się w grubym materjalizmie a siła brutalna i podstęp to ich suprema lex. Co do drugich to pytamy gdzie dziś szukać uczciwego rządu, któryby zachowywał choć cień pozoru godności i powagi?

Są ludzie, którzy w zjednoczonych Niemczech upatrywali zarodek zdrowego wpływu na inne społeczeństwa, którzy w młodém, odrodzoném państwie szukali przewodnika dla innych. Sądzimy, że praktyki tego społeczeństwa, bijącego czołem przed rządem piętrzącym bezprawia na bezprawia, że światło rzucone za kulisy tego

państwa „der Gottesfurcht und edlen Sitte“ przez publikacje jenerała de la Marmora rozproszy bezpodstawne nadzieje. Z drugiéj zaś strony przykład Francji i Hiszpanji obraca w niwecz wszelkie mrzonki tych, co za pomocą republikańskich experymentów ludzkość zbawić obiecywali.

Hiszpanja wybitniéj jeszcze od Francji stawia dowód, że republika bez republikanów istnieć nie może, że przeradza państwo w hordę, w łonie któréj wszyscy przeciw wszystkim wojują, na czele któréj stoją wartogłowy bez siły i taktu.

Jednym z takich pseudo-republikańskich przewodników, za rządów którego Hiszpanja spadła na dno poniżenia, był prezes ministrów Pi y Margall, autor powyżéj wspomnianych „Studjów nad wiekami średniemi.“

Jakim on był mężem stanu i zbawcą ojczyzny wiadomo powszechnie. Parę słów wystarczy, aby go poznać w charakterze filozofa i autora.

„Źródłem nieszczęść całego świata — mówi Pi, — jest wiara w nieśmiertelność duszy, wiara ta najsilniejszą była w wiekach średnich i dla tego wieki te są najciemniejszą i najsmutniejszą kartą historji świata. Z chwilą dopiéro gdy wiara ta wyplenioną będzie, wróci szczęście i radość a prawdziwa religja Chrystusowa zapanuje na ziemi.“

Wybornie. Przetłomaczywszy to z języka pseudo-republikańskiego na ogólnie zrozumiały, zdanie to brzmi jak następuje:

„Poczucie w sobie boskiego pierwiastku, wstyd, godność i cnota to haniebne więzy krępujące nasze rozpasanie, pozbądźmy się tych banalnych urojeń a swobodnie, bez protestów sumienia i pamięci na jutro we wszelakim kale tarzać się będziemy.“

Nie widzimy potrzeby zatrzymywać się dłużéj nad wielce oryginalną teorją nieocenionego pana prezesa ministrów, ale pojmujemy teraz dla czego rządy jego były „najciemniejszą i najsmutniejszą kartą historji Hiszpanji.“

Don Francisco należy bezspornie do najsłabszych umysłów, jakie się kiedykolwiek na polu filozofji popisywały. Boi się on z jednéj strony osobistego Boga i nieśmiertelności duszy, przekładając filozofję pięciu zmysłów. Z drugiéj zaś nie ma siły i odwagi Schopenhauera, aby sobie poradzić bez pojęcia Boga. Don Francisco jest panteistą. Studjował on Hegla i Feuerbacha — to widoczne — ale widoczniejsze jeszcze, że ich nie rozumiał.

Nie chcemy czytelników nużyć kontrowersami ze schodzącéj już z pola filozofji niemieckiéj, do któréj zabrano się dziś post festum we Włoszech i Hiszpanji, a przytoczymy jeszcze tylko dwie osobliwości z dzieła uczonego republikańskiego ministra.

„Chrystus — mówi autor — był komunistą, lecz nie posiadał metody...“ „Nie gniewajmy się jednak na niego — taki już jest porządek rzeczy na świecie, ludzie poczynają przeczuciem a kończą systemem. Uczucie poprzedza zawsze myśl.“

Jakiéj to metody, jakiego systemu brakło Chrystusowi? — Autor tego jasno nie mówi, ale domyślać się można, że idzie mu o petroleum!

Wywody historyczne niemniéj są ciekawe: „Wieki średnie ogołacane były ze wszelkiéj oryginalności. Cechą ich były: Chrześcijanizm, starożytna cywilizacja i filozofja.“

Czyż można wyobrazić sobie płytsze poglądy? Czyż świat germański, islamizm i ustrój feodalny nic w wiekach średnich nie znaczą? Czyż te wieki na wskroś poetyczne, ta macierz czasów nowych i postępu pozbawione są wszelkiéj oryginalności?

O biedny kraju, w którym tacy filozofowie i historycy réj wodzą!!

---

von Sacher-Masoch — „Ein weiblicher Sultan.“ Leipzig bei Günther. 1873.

Nowym romansem o tak drażniącym tytule uszczęśliwił rozgłośny i płodny Sacher-Masoch żądną skandalu i nagości publiczność. Książka ta z licznego szeregu powieści i romansów tegoż autora najbardziéj jest wydekoltowaną może właśnie dla tego, że Sacher powstał właśnie z dywanu, na którym, oburzeni czelnością jego utworów krytycy niemieccy, straszliwą sprawili mu chłostę.

Odurzony bólem, z pełną krwi głową, napisał Sacher broszurę „Ueber den Werth der Kritik“, w któréj rzuciwszy garść błota w oczy krytyków, stawia sam siebie za ideał poety przyszłości, którego dzieła nierównie większy wpływ wywierają aniżeli wszystkie pisma Goethego i tym podobnych razem wzięte. Odrzuciwszy na stronę tak niedorzeczną arogancję, przyznać należy Sacherowi, że pisać umie płynnie, jędrnie i zajmująco. Nie ma tam głębokich myśli ani rozwiązywania zadań towarzyskiego życia, jak Sacher sam sobie pochlebia, ale jest życie i werwa; nadewszystko zaś pełno drastycznych, nadpsute nawet nerwy drażniących i rozogniających wyobraźnię obrazów — co wszystko razem wzięte zapewnia Sacherowi powodzenie pomiędzy komiwojażerami, pokojówkami, zdechlakami i wszelakim czytającym plebsem a w wypożyczalniach książek kładzie go obok takich potentatów jak Sue, stary Dumas i Ponson du Terrail.

Ostatni romans Sachera „Der weibliche Sultan“ będzie miał niezmierne powodzenie. Rękojmią jest nietylko tytuł, ale usprawiedliwiająca go treść. Miejscowość, którą autor do rozpostarcia akcji wybiera i jakość osób działających pozwala mu roztoczyć dziwnie ohydne obrazy lubieżności, którą stara się zaostrzyć okrucieństwem.

Lubieżność i okrucieństwo? Cóż to za temat dla zgangrenowanego smaku publiczności! Jakżeż tego nie czytać? Będziemy się oburzać i moralizować, ale czytać i potajemnie lubować się będziemy. Pan v. Sacher-Masoch zrobi pieniądze, a kilkunastu ludzi gorliwéj pracy tyrać się i z głodu mrzeć będzie.

Taki jest smak i taka publiczność!

Bohaterką romansu jest cesarzowa Elżbieta rosyjska — kochankowie jéj dostają rózgi... rywalki knutują się na śmierć. Te i tym podobne pieprzne sytuacje stanowią treść, któréj dla względów elementarnéj przyzwoitości podawać nie będziemy. Wspominamy tu tylko o tym utworze dla zaostrzenia ciekawości i dla przekonania się z księgarskich wykazów, ile egzemplarzy rozejdzie się téj książki a ile innych dzieł poważnych, na które zwracaliśmy również uwagę.

Jules Amigues — „On demande un dictateur.“ Paris, E, Lachaud. 1873.

W obec dzisiejszych powikłań politycznych każden chętniéj czyta dziennik lub broszurę, aniżeli powieść lub traktat naukowy. Sprytni pisarze francuzcy pochwycili w lot ten kierunek swoich czytelników i starają się zapewnić sobie powodzenie dając to, co jest najbardziéj popytne. Téj to okoliczności przypisać należy, że znaczna część powieściopisarzy francuzkich stara się osnuwać swoje utwory na tle tendencyjno-polityczném, dotykając zwykle kwestji alzacko-lotaryngskiéj lub kwestji tak wiszącéj na porządku dziennym, jak kwestja formy przyszłego rządu.

Pan Amignes pisząc swoje „On demande un dictateur“ dotyka właśnie téj drugiéj kwestji i to nader tendencyjnie.

„Voilà un on bien impertinent“, powiedziałby bezwątpienia Molière. Ci on, ten ktoś poszukujący dyktatora to bonapartyści, jak się z toku rzeczy pokazuje.

Kandydat ich do tronu zbyt jeszcze młody, zanim więc orzełek dojrzeje i wzrośnie na orła, trzeba czas zapełnić dyktaturą, która jest tylko przechodem przygotowującym epokę władzy mniéj despotycznéj a więc względnie liberalnéj.

Autor wcale zręcznie służy swemu stronnictwu, szkoda tylko, że inne partje czekać nie życzą sobie, mają bowiem zupełnie dojrzałych kandydatów.

Pan Amigues postawiwszy tak sprytne założenie, posługuje się w przeprowadzeniu wcale ujmującym obrazem:

Na odłamie muru, wystającym po nad płaszczyzną zalaną przez powódź, stoi postać wystraszonéj kobiéty wołającéj o ratunek. To Francja. Koło niéj spierają się o pierwszeństwo ratunku trzy łodzie z wioślarzami. Jedna z łodzi zatknęła banderę czerwoną, druga niebieską, trzecia białą. Jak skoro jeden z wioślarzy pochwyci kobiétę, inni zatrzymują go i przeszkadzają uratowaniu. „Ależ zostawcie ją w pokoju, niech sama wybiera między wami" — woła z brzegu jakiś rozsądny człowiek. Głos jego nie skutkuje, wioślarze szkodzą sobie wzajemnie a powódź rośnie. Ten rozsądny człowiek na brzegu to oczywiście bonapartysta. On także pragnie ratować kobiétę, ale czeka aż bałwany pochłoną łodzie i wioślarzy. Tymczasem orzełek stanie się orłem a czwarta łódź poniesie Cezara ze zdobyczą.

Czy oczekiwania te ziszczą się? Czy Francja zbankrutowawszy na cezaryzmie, rewolucji i republice nie spróbuje ratować się na łodzi z białą banderą?

Niedaleka przyszłość pokaże!

Dr. **W. M. O.**

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

— Na osobliwy sposób zaprowadzania zgody, wynaleziony oryginalnie przez **Kurjera Poznańskiego**, zwracamy publiczną uwagę. Pismo to, posłyszawszy iż wszyscy zacni obywatele oburzają się na jadowitą a bezpłodną polemikę zapełniającą łamy jego, oświadczało kilkakrotnie iż polemiki nie szuka, że przeciwnie stara się usilnie o zgodę i zaprowadziłoby ją niechybnie, gdyby nie napaści **Dziennika Poznańskiego.** Owoż tedy zaznaczamy, że Dziennik od trzech tygodni przeszło zerwał z polemiką i na najwyraźniejsze zaczepki nie odpowiada, Kurjer zaś daje dzień w dzień milowe wstępne artykuły treści wodnisto-polemicznéj przeciw Dziennikowi, który musi je srodze lekceważyć skoro uporniе milczy. Teraz każdy wiedzieć powinien gdzie winowajca? Kwestje czasowe a nawet najżywotniejsze Kurjer zupełnie pomija, mimo to zaklina się przy lada sposobności że kocha ojczyznę, że rad dla niéj pracuje. Zachowaj nas Boże od takich „ojców ojczyzny" i od takich pracowników. Słuszność każe nam dodać, że „Orędownik" wtóruje „Kurjerowi" jak umie i może. Zaiste piękne to pismo dla ludu.

* * *

— Znany naszéj publiczności niejaki **Geist**, dyrektor szkoły realnéj i propagator knajpy „Feldschloss" dał za wygranę swemu zapałowi i wydalonego ze szkoły Pawlickiego na nowo miłościwie powołać raczył. Ciekawi jesteśmy czy rząd utrzyma na stanowisku tego poszóstnie skompromitowanego dyrektora? Czy w państwie „der Gottesfurcht und edlen Sitte" takim kreaturom wolno kierować młodzieżą?

* * *

— Znany poeta **Aleksander Groza** wziął legendowego czarodzieja Twardowskiego za bohatera utworu, który świéżo wydał księgarz Rosenheim w Brodach p. t. „Twardowski, misterjum z podań narodowych w dwóch częściach."

* * *

— Panna **Eleonora Krassowska**, jedna z najlepszych uczennic znakomitego w świecie muzycznym profesora Mantiusa w Berlinie, zamierza, jak się dowiadujemy, udzielać w mieście naszém lekcji śpiewu. Możemy pannę Krassowską tém więcéj polecić, że włada zarówno francuzkim jak i niemieckim językiem. Zgłaszać się należy do jéj pomieszkania przy ulicy św. Marcina u pani Piaseckiéj, w kamienicy p. Padego.

* * *

— Towarzystwo dramatyczne p. **Zygmunta Sarneckiego** rozpocznie kurs zimowy z końcem tego miesiąca. Szan. dyrektor bawi obecnie w Warszawie dla uzupełnienia personału. Siły śpiewne, jak nam piszą z Warszawy, mają być doborowe — między innemi pozyskał dyrektor cenionego barytonistę p. Horbowskiego. Natomiast trudno przychodzi z dobraniem sił do dramatu i komedji a to z powodu wielkiego popytu na prowincję w Kongresówce.

* * *

— Słynny nasz malarz historyczny **Jan Matejko** został mianowany dyrektorem szkoły malarskiéj w Krakowie z płacą 2,480 fl. w. a., które mu swego czasu ofiarowano w Pradze.

* * *

— **I. A.** hr. **Fredry** znana komedja „Posażna jedynaczna" przetłómaczoną została przez Rosena na język niemiecki p. t. „Die einzige Tochter" i dawaną była z powodzeniem w Wiedniu na scenie teatru miejskiego pod dyrekcją Henryka Laube.

* * *

— Dowiadujemy się, że były redaktor „Świtu", p. **Bronisław Zawadzki** ze Lwowa, wykończa przekład znakomitéj estetyki Lemkego, która wyjść ma w Lipsku przy końcu tego miesiąca.

* * *

— Znani czytelnikom pisma naszego pp. **Aleksander Skorski** i **Stanisław Smolka** otrzymali temi czasy stopnie doktorów filozofji, pierwszy na uniwersytecie we Lwowie, drugi w Göttingen.

* * *

— Dramat **J. Słowackiego** „Mazepa" ma być wkrótce przedstawionym na scenie petersburgskiéj, w tłomaczeniu rosyjskiém Puszkarewa, które podobno odtwarza wybornie zalety oryginału. Sztuka przedstawioną będzie na benefis artysty dramatycznego Monachowa, on zaś sam ma wykonać rolę tytułową.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.